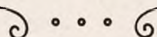
NUMER 27. DNIA 5-go LIPCA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

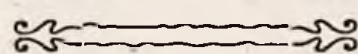
DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.



Z powodu sporu o Sienkiewicza.



Drobna stosunkowo przyczyna wywołała w Warszawie znaczny ruch polemiczny, który ma za cel niejako detronizację Sienkiewicza. Temperament dziennikarzy warszawskich doprowadził w tem starciu do wypadków, nie mających właściwie żadnego związku z samą zasadą polemiki. Musimy się więc przedewszystkiem oderwać od tego fermentu pobocznego sprawy i wyabstrahować to, co w niej było istotnem.

Sienkiewicz był i jest uważany jako premjer literatury polskiej; imię jego pozyskało rozgłos na obu półkulach ziemi; jubileusz jego był uroczystością narodową; p. Józefat Nowiński w książce o nim powiada: „tej a tej sceny nie pisał człowiek, to mógł napisać tylko Bóg“...

Autor, wobec którego tylu ludzi zatraciło zupełnie krytycyzm, musiał oczywiście posiadać jakiś dar, jakąś moc, zdolną oczarować jak najszersze koła czytelników. Jasnem jest przecież, że musiał nadejść dzień przebudzenia ducha krytycznego względem bożyszcza; dzień, który zresztą przeczuwało już wielu i w różny sposób. Jak to u nas bywa najczęściej, rzecz taka — analiza twórczości Sienkiewicza, — zjawiła się nagle, z błahego powodu, choć oczywiście powinno to było być zrobione znacznie wcześniej, z absolutnym spokojem, *sine ira et studio.* Tymczasem obecnie przymięszały się różne namiętności stronnicze, stworzono na prędce jakąś fantazyjną walkę starych i młodych, rzecz literacką wzięli w ręce dziennikarze, t. j. ludzie najmniej do tego powołani. A jednak mimowoli w walce tej zaznaczyły się cechy, świadczące o zmianie, jaka się odbywa u nas w pojęciach; starcie to i fakt, że jego postulaty znalazły tak łatwy posłuch — dowodzi, że jednak akcja przeciwników Sienkiewicza padła na grunt przygotowany i że pora właściwa na nią przyszła. Ale walczących opętały, że tak powiem, „warszawskie kategorje myślenia“, skutkiem czego naprzód spór przeszedł granice walki literacko-psychicznej, a powtóre nie znaleziono podstawy ogólnej, któraby tę walkę uzasadniła rzeczywiście. Zarzucać Sienkiewiczowi filisterstwo jest dziecińcinstwem, jak nie mniej robić go sojusznikiem „burżujów“ i ,,kapitalistów“. Pewne pozory prawdy miałby za sobą zarzut t. zw. apologji szlachetczyzny. Jeżeli jednak zbadamy, na czem polega istota talentu Sienkiewicza, to znajdziemy, że ta pozorna apologja szlachty była rzeczą logiczną — i nawet konieczną w literaturze polskiej. W rzeczywistości nie jest to apologja szlachty, lecz apologja bitwy, wojny, apologja wielkich masowych ruchów fizycznych, w których działa pierwiastek bohaterski (w homerowskiem znaczeniu) człowieka. Ponieważ tym czynnikiem bohaterskim była przedewszystkiem szlachta, nic też dziwnego, że wystąpiła ona tu w apoteozie. Rozważając tę samą szlachtę ze stanowiska cywilnego, znajdziemy przeciw niej tysiączne zarzuty.

Otóż doszliśmy do istoty rzeczy. Sienkiewicz pomijając młodzieńcze — może najpiękniejsze

śród jego pism — opowieści ludowe, dał kilka romansów współczesnych, w których najwidoczniej jest jakby nie u siebie (pierwsza lepsza nowela Dostojewskiego daleko bardziej mi rozszerza pojęcie człowieka). Poza tem mamy szereg jego dzieł najrozgłośniejszych: są to wielkie poematy epickie, malujące krwawą gigantomachję Rzeczypospolitej z wrogami. Tu poeta jest najbardziej w swoim żywiole; tu znalazł odpowiednią dla siebie perspektywę: przeszłość i odpowiedni motyw — bitwę. Te dwa pierwiastki: duch bitwy i moment historyczny — streszczają talent Sienkiewicza.

Tu wyładował on największą energję swego ducha; stronice ksiąg, przyodziane w niezwykle czarujący język, poruszają się i barwią, żarzą się tumanami stepów i miast, dzwonią niemilknącym szczękiem oręża, wybuchają ogniami prostych, żołnierskich namiętności. W tym ogromnym ruchu setek tysięcy ludzi, człowiek pojedynczy maleje; w tym bezmiarze klęsk narodowych, nikną też cierpienia osobiste. Za to wszystko jest na powierzchni; niema żadnych głębi: dusze są tu prostolinijne, jakby dziecinne, żaden problem metafizyczny ich nie zajmuje: katechizm im wystarcza; i dla autora również poza splotem ciekawych faktów — nie ukrywa się żadne o k k u l t u m, a każdy fakt zawsze występuje jako fakt — i nic więcej, bo i historjozofja Sienkiewicza jest bardziej epicka, niż tragicznie pogłębiona. Pozostawił on niezmierzone sfery ducha nietkniętemi zupełnie i można o nim śmiało powiedzieć, że ani jednego problematu nie postawił, ani jednego zadania nie dał swemu narodowi. Dał mu rozkosz, niemal fizyczną, czytania pięknej polszczyzny, ale nie stworzył przełomu w świecie myśli polskiej. Na tem polega słabość Sienkiewicza: ludzie, którzy myślą za pomocą etykiet polityczno-społecznych, nazwali go reakcjonistą, choć jest to równie dziecinnie, jak nazywać go „burżujem". Epos bohaterskie było koniecznem w literaturze polskiej, jako zamknięcie dnia wczorajszego, ale duch przeszłości (moment historyczny) zarówno jak duch bitewny — nie wystarczają nam dzisiaj. Przeciw temu duchowi b i t e w n e m u występuje do walki, że tak się wyrażę, duch c y w i l n y — i to jest właściwą treścią sporu przeciwników Sienkiewicza z jego twórczością.

Ten duch cywilny ma swoje bohaterstwo, swoje wzloty śmiałe i bojownicze, swój patos i swoją potęgę. On stawia nowe problematy życia i ducha, rzuca ludziom nowe zadania. Nie mogę tu wchodzić w szczegóły, gdyż znaczyło by to prawie tyle, co przedstawić całość różnolitych prądów piśmiennictwa dzisiejszego, które jest po większej części oderwane od przeszłości i przeciwne duchowi bitewnemu.

Sienkiewicz wciela i zamyka tę przeszłość, bo choć ma epigonów, lecz ci wzięli tylko jego formę bez ducha. Jakie się egoizmy i jakie braki kryją w nowej pieśni, to już dziś można przewidzieć. W każdym razie cechą tej nowej literatury jest bez wątpienia głębia znacznie doskonalsza od powierzchni Sienkiewiczowskich. Odwieczny a tragiczny, w Polsce zaś tragiczniejszy, niż gdziekolwiek, problemat jest treścią tej literatury. Co jest większe i potężniejsze: tragedja narodu, czy tragedja człowieka? W Polsce — człowiek, który własne cierpienia pogłębia — zdaje się, jakby na rzecz tych cierpień okradał naród z siły i przez to samo jest poprostu jakby wrogiem narodu. Obnażenie duszy własnej do najrdzenniejszych jej elementów — bez względu na czas i miejsce, bez względu na zło i dobro — oto jeden motyw tej nowej literatury (Przybyszewski); wyzwolenie od wszelkich warunków zewnętrznych i wytworzenie realnej wewnętrznej wolności ducha — oto jej drugi motyw główny (Wyspiański). — To, co Wyspiański, choć sam pełny jeszcze historji, nazywa wyzwoleniem: jest to przedewszystkiem wyzwolenie od momentu historycznego; jest to żądanie, abyśmy raz wreszcie wydobyli się z pod panowania umarłych i rozpoczęli własne, nowe — mówiąc terminem Nietzsche'go — niehistoryczne życie.

Życie niehistoryczne, to znaczy życie oderwane od narzuconych nam przez czas i okoliczności warunków, życie osobiste, człowiecze, nadnarodowe. W tej nadnarodowości widzi Konrad moc narodową: ale — jak powiadam — w Polsce takie dążenie jest wewnętrznie niedozwolone, i za samą śmiałość podniesienia tej myśli Erynie ścigają Konrada, a w otchłani obnażonej duszy Przybyszewski widzi zawsze jakąś przerażającą tragedję uniwersalną. Stąd ogromny smutek nowych pisarzy. Bitwy, jakie oni toczą, są to bitwy wewnętrzne, udręczenia duchów samotnych, zanurzanie się w coraz dalsze głębie.

„Niemal wszyscy — powiada Maeterlinck — autorowie tragiczni widzą tylko życie gwałtowne

i życie dawnych dni... (przecież) jeżeli życie straciło na swej powierzchni dekoracyjnej, to równocześnie zyskało na głębokości, na znaczeniu szerszem, na ważności duchowej. ...Psychologja wojny lub zwycięstwa jest pierwotną (powierzchowną), a bezużyteczny hałas gwałtownego aktu zagłusza głos istot i rzeczy, głębszy, lecz wahający się i ukryty i t. d“.

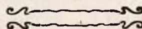
To właśnie życie gwałtowne, zewnętrzne, dekoracyjne odtworzył Sienkiewicz w swych epopejach; ale poprzez ten hałas wojenny przedziera się mniej jaskrawy, utajony w rzeczach, przecież głębszy duch przeciw-bitewny, który tu nazwałem cywilnym.

Sienkiewicz jednak swoje przeznaczenie spełnił znakomicie, a duch bitewny zawsze znajdzie echo w czytelniku. Walka dzisiejsza zapowiada przełom, ale o tyle tylko, że Sienkiewicz, jako człowiek zapatrzony w przeszłość, nie baczył na jutro i zapomniał o przyszłości. Mimo to przeszłość ma także swoje trwanie w duchu ludzkim — i zasługą jest w czasach aż nazbyt spokojnych przypomnieć ludziom echa bojów epickich.

A. Lange.



NOWELE I POWIEŚCI ORKANA.



Naprzeciw Tatr, między doliną nowotarską, a wężowatą kotliną Raby, wspięło się gniazdo dzikich Gorców. Od romantycznych Pienin odciął je wartki kamienicki potok, a od spiskiej krainy odgraniczył je falami bystry Dunajec. Ten niewielki szmat ziemi skalistej i dzikiej, o którym przed ukazaniem się utworów powieściowych Orkana mało kto wiedział i słyszał, tę okrytą mgłami krainę „kęp i wiecznej nędzy“, tę zamrożoną bólem ziemię smutków i niedoli, gdzie po „ugorach i po szarych łanach zbóż jeden tylko słychać płacz i zgrzyt“, ukochało „nad miarę“ gorące serce poety, który jest krwią z krwi tej ziemi i kością z jej kości. Z rodzinnych wyżyn swoich, ze szczytów Turbacza lub Babiej Góry, wzrok Orkana obejmuje niewątpliwie widnokręgi szerokie. Nie są mu obce ani walki i zagadnienia społeczne dzisiejszego świata, ani dręczące bóle i zwątpienia dusz współczesnych. A jednak w twórczości swojej autor „Komorników“ nie wybiega po za granice, zakreślone bystrym wartem Dunajca i kamienickiego potoku, po za piękny, ale pogrążony w nędzy kraj „Gorców“ i po za ich życie, trosk pełne — nie dla tego bynajmniej, aby go nie ciągnął i nie nęcił przepastny wir dążeń, walk, zwątpień, radości i cierpień, huczących nieskończonem echem po szerokim świecie, lecz że, jak dotąd, odnajduje je wszystkie prawie w tym swoim niewielkim światku, który poznał i ukochał od dziecka. „Powszechnem jest mniemanie — mówi ten poeta zagórzański w przedmowie do jednej ze swych powieści — że chłopska dusza jest mało złożona, myśli zaś, o jednem skrzydle, trzepocą się jak drób; wesołość musi stać się koniecznie grubym śmiechem, strapienie musi być koniecznie lamentacją, subtelnych uczuć nic... A przecież jest w tej duszy tak szeroka skala, tyle nieznanych strun, że — potrącone — grają przeczystą liryką naiwnego serca pierwotnych ludzi-pasterzy, albo szepcą dziwne słowa płanetniczą gwarą, zrozumiałą jedynie tym, co zwykli siadać na powietrznych chmurach i pa-

*) Szkic niniejszy, przeznaczony do „Prawdy“ warszawskiej, zawiera niektóre szczegóły, znane już czytelnikom „Tygodnia“, umieszczamy go jednak w całości, jako rzecz, która posiada wszystkie zalety, właściwe pióru Szanownego Krytyka: ciepło, barwy, intuicję — i jako najgłębsze — jak dotąd — słowo o twórczości literackiej Orkana. (Przypisek Redakcji).

trzeć stamtąd okiem smutnem na tę małą okruszynę u stóp swoich — ziemię... W zapadłym jakimś kącie można spotkać panteistę, co zna mowę ptaków, nerwowego poszukiwacza skarbów, milczącego filozofa rezygnacji, który się już niczemu na świecie nie dziwi, a prócz tych — naturalnie — wszystkie warstwy ludzi, jakie się widzi w szerokim świecie. Najmizerniejsza z wioszczyn ma swoją arystokrację rodową, średnio zamożnych chałupników i bezdomną, od wspólnego stołu życia odłączoną rzeszę. Na zewnątrz, podobnie jak w całym cywilizowanym świecie, wszystko zdaje się jednako szarem, smutnem, niewartem uwagi — a wewnątrz, pod skorupą bezbarwnego życia, dzieją się rzeczy straszne, tragedje ciche, snują się bezustanku te podwodne widma — czasem bełkot, wir mówi, że coś tam się stało, lecz wnet powierzchnia się wygładza i dalej płynie to życie mętną rzeką — jednakie, szare, monotonne...“ W słowach powyższych mieści się niewątpliwie klucz do rozwiązania zagadki dotychczasowej twórczości Orkana, ciekawej, oryginalnej, potężniejącej z każdem dziełem nowem, niezmiernie odrębnej, młodzieńczej jakiejś i świeżej, a we współczesnej literaturze naszej — rzec można — w rodzaju swoim jedynej.

Twórczość swoją rozpoczął Orkan, syn włościan, górali z okolic Limanowej, przed pięciu czy sześciu laty, tomem nowel, wydanym, wkrótce po ukończeniu gimnazjum, z przedmową Kazimierza Tetmajera, który pierwszy przeczuł w młodziutkim jeszcze wówczas poecie, duży talent pisarski. Przeczuł — powiadam — gdyż wstępny ten zbiór utworów Orkana nie posiada jeszcze, z małymi wyjątkami, poważniejszej wartości artystycznej i nie wznosi się prawie ponad poziom przeciętnych prób studenckich, świadczących więcej o szlachetnych dążeniach społecznych i aspiracjach literackich młodego autora, niż o jakichś zdolnościach wybitniejszych. Z pośród kartek książki wyziera tu jeszcze zbyt natrętnie tendencja, zamieniająca niektóre utwory (takie n. p. „Dwie kartki z życia nauczyciela“) w rozprawki społeczne, przybrane jedynie w formę nowelistyczną. Brak w tym tomie wogóle świadomego siebie opanowania formy, jest pewna niewybredność w wyszukiwaniu tematów, pozwalająca np. na włączenie do zbiorku takiego melodramatycznego w tytule i wykonaniu utworu, jak „Zemsta trupa“. Sporo tu wogóle naiwności i rozwlekłości, choć są i obrazki, stojące już na granicy piękna artystycznego, jak np. ładny, przy końcu smętnonastrojowy „Pogrzeb“, lub opis uroczystości sianokosowych, z udziałem rzewnego grajka wiejskiego, Jaśka („Skrzypki grają — bieda gra“). Co jednak uderza już w tym pierwszym zbiorze nowel, to gorące umiłowanie otoczenia najbliższego, dostarczającego wyłącznie młodemu autorowi pomysłów i treści, i żywa chęć zapoznania szerszego świata z ukochanym swym zakątkiem ziemi, z uczuciami, mową i życiem jego mieszkańców. Jest to rys zasadniczy, który pozostanie już jedną z cech stałych talentu Orkana, rozwijając się tylko i pogłębiając w utworach późniejszych.

Ale i pod innym jeszcze względem pierwsze nowele autora „Roztok“ zasługują na baczniejszą uwagę. W zaczątku, w zarodku samym możnaby w nich odnaleźć pomysły obu wydanych dotąd większych powieści jego, a może i niejednego z utworów, które dopiero ukazać się mają. Taki np. czterostronicowy obrazek pt. „Bezdomni“ pozostaje w blizkiem pokrewieństwie ideowem z późniejszymi „Komornikami“, a w „Przeznaczeniu“ odnalazłby się już może pierwszy zarys postaci wójta Suhaja, namalowanej z taką plastyką i siłą artyzmu we „W roztokach“.

(C. d. n.)

Wł. Bukowiński.



WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(1)

I.



Anno, są! Nareszcie przyszły... Jedziemy... Doprawdy przyszły... Jedziemy... Rozumiesz? — wołał pobladły od wzruszenia mężczyzna, wpadając z papierami do jurty.

Młoda kobieta zerwała się z ławy i pochwyciła stojące obok dziecko.

— Kto przyszedł? Co takiego?! — pytała z wyrazem bolesnej trwogi.

— Pozwolenie... — szeptał mąż — rozumiesz?... pozwolenie!...

Podsuwał jej blisko papiery, ale ona nie widziała ich, zapatrzona szeroko otwartemi oczami gdzieś w przeszłość czy w przyszłość, aż nagle świadomość mignęła w jej źrenicach i wtedy pospiesznie zakryła ręką twarz, nabrzmiewającą łzami.

Zdziwione dziecko zwróciło się ku niej i zaczęło poważnie świdrować paluszkami w szczelinach kurczowo zaciśniętych palców. Mężczyzna objął oboje, przytulił do siebie i mówił dalej głosem przyduszonym:

— Gołąbko moja... kochana moja... uspokój się!... Wszak to już koniec, już wszystko minęło... Wolni...

— I cóż? Kiedyż?! — spytała, wycierając łzy.

— Zaraz, dziś... Leo pisze, że parowiec odchodzi jutro wieczorem. Musimy dziś na noc wyruszyć; inaczej nie zdążymy. Już kazałem Betingetowi konie z pługa wyłożyć i wóz oporządzić... Chwili nie mamy do stracenia... Rzuć wszystko i zaraz bierz się do pakowania.

— Ach, Stefku, tak nagle?! Wszystko w życiu naszem dzieje się takimi skokami! — westchnęła pani Anna.

— Cóż robić?! Taka niesie nas fala... Dobrze przynajmniej, że tym razem szczęśliwa!... Trzeba korzystać z odpływu... Spiesz się...

Pani Anna postawiła dziecko na ziemi.

— Niech Oleś będzie grzeczny i nie przeszkadza mamie.

W odpowiedzi na to Oleś wetknął głowę między jej kolana i uczepił się fałdów sukni z wielce obiecującem bąkaniem.

— Tylko niech Oleś nie płacze, bo to będzie bardzo brzydko z jego strony. Tatuś zajęty, a mamusia musi rzeczy pakować!... Ach, Boże, co za chaos! Doprawdy nie wiem, od czego zacząć. Czyżbyś miał serce, Stefanie, opuścić nas w tej potrzebie — dodała z uśmiechem, spoglądając na męża, który, jak stał w czarnym filcowym kapeluszu na głowie, przysiadł u stoła i szybko list kreślił.

— Hej, Betinget!...

W otwartych drzwiach, na tle błękitu i dalekich wyzłoconych słońcem lasów modrzewiowych, pojawiła się oliwkowa twarz młodego Jakuta.

— Odnieś list do pana nad Białe jezioro — rzekł po jakucku. — Żywo! Uwijaj się!... Dałeś koniom jęczmienia?

— Dałem, panie... Zrobiłem wszystko, co pan kazał...

— Ruszaj z kopyta! Pytasz, od czego zaczniemy? — zwrócił się do żony. — Przedewszystkiem przyniosę ze śpichrza kufry i skrzynki, a ty tymczasem wybieraj odzież oraz rzeczy niezbędne i składaj je na jedno miejsce... Ale nie bierz za dużo, bo nie starczy nam pieniędzy na opłacenie frachtu.

Pani Anna aż w ręce klasnęła.

— Za dużo?! Zdaje się, że nigdy nie mieliśmy ich *za dużo*... A co zrobimy z resztą?

— Resztę... podarujemy sąsiadom! — odrzekł Stefan po chwili namysłu.

Chciała zrobić uwagę, ale był już za drzwiami i ze zgrzytem obracał klucz w zamku maluchnej śpiżarki; pocieszyła się więc jedynie gestem wymownym i nucąc piosenkę, zaczęła zbierać rzeczy.

Pracowali pilnie, bez wytchnienia, otoczeni kurzawą starych rupieci. Oleś, uszczęśliwiony widokiem tylu nieznanych przedmiotów, leżących na ziemi, zachowywał się nadspodziewanie cicho, za to co chwila niósł coś do ust lub wlókł do kąta.

Wieczór zapadł. Z otwartych drzwi powiało chłodem. Złoty, słoneczny blask na dalekich modrzewiowych lasach zamienił się w blask miedziany. Zmrok w chacie nasiąkł jego czerwienią. Anna rozpaliła ogień na kominku i nastawiła wieczerzę. Z dziwną tkliwością dotykała prostych i grubych naczyń, które tak długo dzieliły z nimi dolę i niedolę. Stefan naciągał mocno sznury dokoła skrzyń.

— Betinget! już wróciłeś! -- krzyknął, spostrzegłszy na popielatej ziemi podwórka wydłużony, popielaty cień człowieka.

— To ja! — odpowiedział wysoki, barczysty przybysz, pochylając się w nizkiem wejściu. Zdjął z łysawej głowy wytartą, futrzaną czapkę, a dubeltówkę, którą miał w ręku, powiesił na kołku.

— Poczciwy jesteś, żeś przyszedł — witali go, ściskając mocno za rękę. — Jedziemy... zaraz... za chwilę...

— A wiem, pisałeś, ale czemu tak nagle?

— Musimy się spieszyć. Parostatek odchodzi jutro wieczorem. Mamy więc przebyć sto wiorst w dwadzieścia cztery godzin. Jeżeli nie zdążymy, będę musiał czekać drogi zimowej, gdyż nie mogę żony i dziecka przewozić na jukach. Zresztą na podróż parostatkiem pieniędzy nam starczy, ale na podróż końmi — żadną miarą...

— Gdybyście się wstrzymali z wyjazdem, możeby wam się udało sprzedać chatę, spieniężyć coś z gospodarstwa, możeby kto nabył podorane grunta!...

Stefan roześmiał się.

— Grunta wracają do gminy. A co do sprzedaży, to wiesz dobrze, że skoro sąsiedzi dowiedzą się, iż niezadługo wyjeżdżam, nikt nic nie kupi. Oni już teraz uważają wszystko za swoją własność. „Żyłeś wśród nas — powiadają — korzystałeś z naszej ziemi i opieki, powinieneś nas uszanować." Onegdaj kazałem rozebrać kawałek własnego płotu na ogień, to mi robili wymówki, że psuję ogrodzenie pola. Przyznać należy, że mają do pewnego stopnia rację. Podstawą własności jest jedynie istotne władanie i istotna potrzeba. Nic nie będę sprzedawał. Część podaruję sąsiadom, a co lepsze wybiorę i oddam Betingetowi. Pracował razem ze mną lat kilka. Przyjemnie pomyśleć, że przez to chłopak może się dźwignie i zostanie samodzielnym gospodarzem... Tu tak mało potrzeba do tego.

— Hm! Co słyszę? Popieramy stan trzeci z ujmą czwartego? Prędko jadą... powracający! — żartował gość, śledząc z zaciekawieniem manewry Olesia, który kręcił się koło komina z widocznym zamiarem pomieszania kijem w gotującej się zupie.

Pani Anna wzięła syna na rękę.

— Nie! — ciągnął poważnie Stefan. — Ale chciałbym zostawić tu właśnie, gdziem tyle lat strawił, widomy znak życzliwości... Zrobić coś dobrego komuś, kto czuje, płacze i śmieje się... A że dla tego wybrałem mego robotnika, to rzecz zrozumiała. Społeczeństwo rzecz szanowna, ale... dokuczyły mi abstrakcje... strasznie mi dokuczyły! Nigdy nie czułem tak nużącej tęsknoty do realnych czynów, jak w tym roku ostatnim... Rozumie się, że nie mówię tego z powodu podarunku Betingetowi, lecz ot, tak sobie... w ogóle! — szybko mówił Stefan...

— Rozumiem cię. Marudzę też, ot tak sobie... Chciałem usłyszeć twe gorące, namiętne dowodzenia, twój ostatni spór... Poprostu nie mogę pogodzić się z myślą, że... za parę godzin... już was tu... nie będzie... Nie będzie nikogo... Tyle lat...

Głos mu się zlekka załamał. Stefan zaprzestał naciągać sznur wkoło skrzyni i spojrzał bystro na mówiącego.

— Daruj, Karolu! — rzekł serdecznie. — Ale ja ani chwili nie wątpię, że się spotkamy na południu...

— Nie wiem. Ta straszna czczość życia i pustka, którą chwilami nieledwie fizycznie odczuwam, wydaje mi się nie do wytrzymania... Jest gorszą od mogiły! Gdy nadchodzi, ogarnia mię paniczny przestrach... Przedtem biegłem do was... Dokąd z nią teraz ucieknę?...

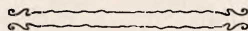
Anna z dzieckiem przysiadła obok niego na ławie.

— Doprawdy, podli jesteśmy, przyjacielu — podli, bo tacy strasznie szczęśliwi... Gdybyś choć mógł nas krzywdzić...

(C. d. n.)



Włodzimierz Wolski.



(Ciąg dalszy).

Dalej wypowiada poeta swoje pragnienia i tłumaczy demoniczność swej natury nieszczęściami ludzkiemi.

Patrzę na ziemię, jak na skład prochu,
Na który piorun mój chciałbym zwalić,
Rozżarzyć iskrę, pożar zapalić
I sztandar szczęścia zatknąć w popłochu.
Jak szara Wisła kiedy w wściekłości
Szydzi z brzegowisk, obala domy,
Jabym, ciskając gromy na gromy,
Szydził, zabijał, nie miał litości.

Był to czas, gdy Zmorski pisał w podobnym tonie Anioła-niszczyciela, a pani Aniela z Chłędowskich Dembowska, żona Edwarda, współwydawcy „Przeglądu naukowego," słynny w swoim czasie wiersz „Co ja lubię", który treścią spokrewniał się z „Zapałem" i z innym wierszem Wolskiego, „Noli me tangere", drukowanym w „Jaskółce" roku 1843, kończącym się wykrzyknikiem:

Wolę być czynnym, ognistym szaleńcem,
Niżeli cichą, bladą, bierną cnotą.

Wypowiadali wszyscy oni to, co drgało w piersiach całej młodej grupy pisarzy. Jednakże wczytując się w te pierwsze gwałtowne utwory Wolskiego odczuć można, że jest to zapał robiony, że autor nie doznawał go rzeczywiście, ale zapalał się na zimno, a mając bujną wyobraźnię pobudzał ją sztucznie, bo wiedział za pomocą targnięcia jakich strun efekt otrzymać można. Zawsze przecież najwdzięczniejszemi jego pieśniami są miłosne z odcieniem namiętnym. Nadawały się one bardzo do śpiewu i treścią i formą, to też wiele z nich podkładali mu pod muzykę Moniuszko, Ignacy Komorowski, Dobrzyński, Franciszek Wilczek, Emanuel Kania, Julja Niewiarowska.

W późniejszych poezjach Wolskiego niema już pierwotnej gwałtowności; życie położyło na nim swoje piętno, zwiało to, co było naleciałością chwili, zostawiając rdzenne właściwości, liryzm, zabarwiony silnie erotyzmem, z odcieniem tęsknoty, odzywającej się niemal w każdym naszym poecie, z większą tylko lub mniejszą siłą.

Tęsknotą Wolski spokrewniony był z Szopenem, dla którego miał tem większe uwielbienie, iż sam był bardzo muzykalny. Posiadał też nie wielki, ale dźwięczny i czysty głos tenorowy, którym nieraz czarował słuchaczki, śpiewając własne piosnki przystosowane do okoliczności a skierowane do tych, czyje serce podbić usiłował.

W całej twórczości jego muzyka odgrywała wielką rolę, a najznakomitszym utworem jest fantazja na cześć Szopena, po jego śmierci napisana, w której charakteryzuje w sposób obrazowy całą działalność wielbionego mistrza, opisuje marzenia, jakie budzą różnolite kompozycje jego, zabarwione zawsze nieujętym smutkiem, drgającym nawet w skocznych z pozoru tonach, bo, jak mówi:

Trzeba pojąć śpiewaka,
Gdy dla siebie śpiewa
I lotem króla — ptaka
Nad te góry i drzewa,
Nad ludzi skrzydła wzbił
A świat pierzcha daleko,
Jak mgła ranna nad rzeką,
Jak pył.

. . . .

Bo zmroku był śpiewak, tak cichy i łzawy,
Jak od listka akacji drżący cień na ścianie,
A czasem tak posępny, tak mało jaskrawy,
Jak zachodu nad rzeką posępne konanie.
On swemi marzeniami, on swemi pieśniami
I tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami
Wyśpiewał chwile żalu, męstwa i boleści.

Poeta chwytał w lot i przejmował się ideami panującemi, stroił się w nie niby w nowe szaty, można jednak powątpiewać, by się z niemi zespalał sercem i duszą.

Odpowiednikiem do ojca Hilarego była Halka. Tam poddany pokochał się w hrabiance, tutaj znowu panicz uwiódł góralkę. Halka naprzód miała być poematem, później jednak przyjęła formę operowego libretta w r. 1846. Wolski napisał je w dwóch aktach i taka była spiewana w Wilnie, a następnie przerobił na cztery, które znamy wszyscy.

Skrzywdzonym był bohater Ojca Hilarego i skrzywdzoną Halka. Przyczyną nieszczęścia jednego

i drugiej, była niesprawiedliwość społeczna, nierówność stanu, przesąd rodowy. W nawpół obłąkanej dziewczynie zakiełkowała, jak w Danile chęć zemsty, ale była to tylko zła chwila i przeminęła szybko. Halka nie chce mścić się na ukochanym i rzuca się w nurty rzeki.

Gdy jednak w kilkanaście lat później powstały w społeczeństwie inne prądy i czyniono zarzuty Wolskiemu, iż, pisząc te dwa utwory, rozdmuchiwał nienawiści klasowe, napisał on poemat „Połoskę“ wprawdzie bez porównania słabszy, ale który kończył się pojednaniem młodego dziedzica i ludu, przy poświęceniu przez zacnego plebana chat, odbudowanych po pogorzeli. Tym sposobem poeta wcielił desiderata chwili i przedstawił je jako fakt spełniony.

„Połoska jest także poematem zawiłym. Wchodzi do niego niegodziwa macocha cudzoziemka, co pokazuje wyraźnie, że autor nie chciał żadną zbrodnią obciążać szlachty naszej. Z powodu tej macochy pasierb musiał iść w świat daleki a nawpół chłopskie dziecię, śliczna i niewinna Połoska, którą okrutna kobieta katowała przez zazdrość, szuka ucieczki w śmierci. Połoska topi się, jak Halka. Matka, chcąc ją pomścić, podpaliła dwór i chciała panią zamordować, ale dziwnym trafem zabitą została przez wracającego z długiej wędrówki dziedzica.

Dziedzic ten, będąc tak samo, jak Połoska, ofiarą niegodziwej kobiety, poświęca się dobru ludu. Za jego staraniem wieś powstaje z popiołów, lud powraca do swych nowych siedzib a wielka grzesznica-macocha nawraca się i pokutuje. Jest to poemat pojednania.

Ojciec Hilary, Halka, Połoska, stanowią rodzaj trylogji; wciela ona wiernie kolejne aspiracje i porywy pokolenia współczesnego Wolskiemu, które zakończyły się, przynajmniej w krainach myśli, bratniem połączeniem dworu z chatą.

Poemat „Wielki pan“ napisany w roku 1852 snuje się już zupełnie z odmiennego wątka. Jest to jedna z tych gawęd szlacheckich, któremi w owym czasie Pol i Kondratowicz zachwycali nasze społeczeństwo. Poeta wmieszał tu historyczną postać Kazimierza Puławskiego, ale uczynił to w taki sposób, iż trudno w rozkochanym młodzieńcu poznać późniejszego bohatera.

Do gawędy brakło Wolskiemu plastyki, stawiającej przed oczyma czytelnika, nigdy niezapomniane obrazy, rzeźbione słowem, jak dłutem, brakło mu przy tem staropolskiego zacięcia, chociaż usiłuje je sobie nadać. Czuł to może sam, skoro „Wielkiego pana“ poprostu nazwał powiastką.

(C. d. n.) *Walerja Marrené-Morzkowska.*



Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

PISMA. Ostatni numer wychodzącego w Warszawie miesięcznika *Ognisko* zamieszcza, aktualny wobec ukończenia obecnie egzaminów dojrzałości, artykuł p. t. „Zawód i powołanie“, pióra dra Stanisława Trzebińskiego. Autor zastanawia się nad kwestją, dla czego się dzieje, że obranie sobie zawodu jest często połączone z rozczarowaniem i obniżeniem marzeń i rojeń młodzieńczych. Zazwyczaj przy obieraniu przez młodego człowieka zawodu, główną rolę odgrywa szereg różnorodnych czynników, jak położenie społeczne, środki materjalne, tradycje, obyczaje, widoki powodzenia, łatwość lub trudność kształcenia się, wreszcie przekonanie, że ten, a nie inny rodzaj pracy w danej chwili społeczeństwu jest potrzebny, lub też mniemanie o niższości lub wyższości pewnych rodzajów pracy. Pobudkami takiemi kierują się najczęściej rodzice młodzieńców i względy takie zazwyczaj jedynie i wyłącznie rozstrzygają o wyborze zawodu. Bardzo jest źle, gdy zarobienie największej ilości pieniędzy oznacza się za pierwszy cel przy wyborze zawodu.

Ażeby daną pracę wykonać dobrze i sumiennie, trzeba oprócz odpowiednich kwalifikacji i ukształcenia posiadać przecie zamiłowanie do niej, pokochać ją.

Należy również przy obiorze zawodu zwrócić uwagę na chęć i na powołanie. Gdy młodzieniec minie się ze swojem powołaniem, zazwyczaj nastepuje rozterka i zawód życiowy.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.